Nr 7

ROZMAITOŚCI Warszawskie.

CZWARTEK 29 STYCZNIA. — DODATEK DO KORRESPONDENTA. — 1835.

SZALIK.

I.

Było to 8 kwietnia 1816 roku. Nie zapomniałem dnia tego. Był-to jeden z tych dni wiośnianych, gdy słońce jeszcze jest tak blade; odprawiłem długą, samotną przechadzkę w okolicach Paryża, gdym sobie przypomniał o zaprosinach na wieczór, których ścisły obowiązek grzeczności zaniedbać mi nie dozwalał. Powróciłem spiesznie nieukontentowany.

Już było późno, gdym wszedł do salonu Margrabiny R**, znudzony, jak się jest zwykle w pośród świetnego towarzystwa, w którem nic nie zajmuje. Usiadłem obojętny, chociaż się wszyscy cieszyli. Nie masz tu nic dla umysłu, nic dla serca, mówiłem sobie. Przesadzałem: byłem tylko znudzony, miałem się za mędrca.

Szalik leżał obok mnie. Poco uważać na szalik?

Kolory świeże, żywe, tkanina tak lekka i miękka, bardzo naturalnie zwróciły na siebie moje roztargnione oczy. Przebiegłem wzrokiem kobiety najświetniejsze, potem oczy moje znowu spoczęły na szaliku. Nie mogłem wątpić: szalik był położony na tem miejscu zwolna, nie nagle zgnieciony i ciśnięty; zdawał się wyjawiać, że nieśmiała i skromna ręka tam go położyła. Wyobrażałem sobie, jak we śnie słodkim, pod jego przejrzystą blado-lazurową zasłoną, oczy błękitne, miły uśmiech, niewymowny wyraz czułości, niewinności i wdzięków....

Jeszcze trzymałem szalik w ręku, gdym nagle wyrwany został z moich dumań... Młoda panienka stała przede mną!... był to sen mój; o! więcej daleko, niżeli sen mój! Nie widziawszy jej, nie można było sobie wyobrazić, odgadnąć Maryi...

Nie domagała się zwrotu, a jednak czułem, że ten szalik do niej tylko mógł należeć. Nie oddałbym go żadnej innej kobiecie. Powstawszy nagle, nie mogłem znaleść żadnej grzeczności, najprostszego wyrazu, na usprawiedliwienie się. Moje wzruszenie, podziwienie, spojrzenie lepiej może przemawiały. Kto inny patrzyłby na mnie jak na głupca. Czułem, że ona tak nie myśli, i moje serce wdzięcznem jej za to było. Oboje spotykaliśmy się niespodzianie pośród tego świata, którego mniemanemi uciechami zarówno jedno jak drugie gardziło: zrozumieliśmy się.

Może kochałeś, ty co mnie czytasz, mówmy więc z sobą jak przyjaciele; tak mało znajdziemy osób, któreby nas zrozumieć mogły: posłuchaj mnie.

Jeżeli miłość była tylko dla ciebie chwilowem roztargnieniem, zadowolnioną próżnością, zabawką dnia jednego, nie zrozumiesz mię. Lecz jezli prawdziwie kochałeś miłością, na której samo wspomnienie drży jeszcze moja ręka, kreśląc te wyrazy; miłością, której idealne i czyste rozkosze przewyższają wszelkie namiętności upojenie; miłością, która mężczyznę lepszym czyni, a kobietę zmienia w nadziemską istotę; — może znajdziesz jaki rys własnych twoich przygód, zatarty tylko, bo zupełnie zapomnianym bydź nie może. Jezli tak kochałeś, wiesz, jak życie nowego nabiera wdzięku; jak niknie nagle znudzenie, które nieuleczonem bydź się zdawało.

Odkryłeś jedyną, wielką tajemnicę świata, słowo najpotrzebniejsze: kochać. Jezli tak kochałeś,

możesz umrzeć... Wiesz wszystko; świat i czas niczego cię już nauczyć nie zdołają.

Cała postać Maryi tchnęła tak niewysłowionym urokiem; wdzięki jej były tak naturalne, tak harmonijne; każde poruszenie, każde spojrzenie, każde nagięcie głosu, były w najzupełniejszej z sobą zgodności. We wszystkiem przebijała się jej dusza. Najmniejszy jej ruch, najmniejsze słowo, było myślą.

Rzekłem jej pewnego wieczora:—Maryjo, jakież ci winien jestem szczęście!—Byłażby to prawda?—zawołała.—Maryjo, jakże kocham ten szalik! gdyby nie on, byłabyś dla mnie jeszcze obcą.

Przycisnęła szalik do serca. Pochyliłem głowę, trzymając w ręku powiewną gazę. Zrozumiała moje milczenie; westchnęła zlekka. Oboje myśleliśmy o tym szaliku z zabobonnem przeczuciem. Zgadywała smutne moje myśli.

— A nadzieja?— rzekła;— prawda, pozostaje mi jedyna nadzieja...— O! jaka?—Śmierci!... ona przynajmiej nas połączy.

I już śmiertelna bladość zastąpiła na jej czole lekkie zapłonienie, jakiem je słowo nadzieja powlekło. Biedna Maryja!

Wieczór ten był smutny, następny smutniejszy jeszcze. A jednak byliśmy pewni, że się zobaczymy. Później-to mieliśmy się rozłączyć, jak świat rozłącza, gdy żelazna jego ręka kruszy niemiłosiernie wszystko, co zachwiać zagraża budowę jego samoistności.

Przez ileż-to lat świat ten i ja byliśmy niepogodzonymi wrogami! Zapomniał nakoniec o mnie; ja, przebaczyłem.

I czy nie dość spojrzeć na świat, aby bydź pomszczonym za wszystkie cierpienia, które zadaje? Szalony odpycha wiarę, jako słabość umysłu; czułość, jako zastawione sidła; dobroć, jako głupstwo. Lecz ci, których dręczy, sowicie są pomszczeni.

II.

Lato przywiodło piękne dni swoje. Rozsypało się świetne towarzystwo, wpośród którego doznałem wrażeń, jakich bynajmniej tam nie szukałem. Ale we Francyi nie można długo pozostać w samotności; zaproszono mię, abym przepędził kilka tygodni w B**, majętności Barona M**, ojca Maryi.

Nie widzieliśmy się już od dwóch miesięcy. Miałem tylko o Maryi uboczne wiadomości. Dowiedziałem się, że bardzo była cierpiącą; przywołano nawet doktora z Paryża. Gdym przybył do zamku, od kilku tygodni zaczynała przychodzić do zdrowia. Jednakże pierwszego wieczora nie ukazała się w salonie.

Często mawiała mi o sadzawce, którą nazywała swojem jeziorem, a która była w głębi zwierzyńca. Domyśliłem się, że tam mieliśmy się ujrzeć. Udałem się więc nad jezioro jak najraniej. Noc zdawała mi się wiekiem. Ujrzałem siedzenie ze mchu usłanę, na którem byłem pewny, że lubiła spoczywać. Usiadłem i czekałem.

Wkrótce dwie białe suknie mignęły pod gęstemi drzewami zwierzyńca. Poznałem szalik niebieski; Maryja powiewała nim z lekka, chcąc się dać poznać; lecz nie była sama; wspierała się na ramieniu młodej kobiety. Musiałem wstrzymać moje uniesienia.

Maryja przedstawiła mnie Pani M**, siostrzenicy swojego ojca. Była zmieniona, twarz jej nosiła jeszcze ślady cierpienia. Poznała moją niespokojność po milczeniu i wyrazie oczu.

— Jakże dziś jestem silną!— rzekła;— przybyłam aż tutaj bez żadnego utrudzenia.—A jej uśmiech, a jej oczy, które oczu moich szukały, zdawały się mnie przypisywać to polepszenie. Jednakże, bądź z wzruszenia, bądź z słabości, musiała oprzeć się i usiąść na umszonej ławce.

— Prawdziwie, piękna kuzynko,— rzekła Pani M**,— przed piętnastu dniami z trudnością mogłaś ujść sto kroków, a dzisiaj zaszłaś aż o ćwierć mili od zamku! Ale pamiętaj, żeś nam obiecała ozdrowić.— Są ludzie— rzekła Maryja, patrząc na jezioro,— którzy o niczem nie zapominają.— Dziękowała mi, żem odgadł to miejsce i przyszedł.

Trzeba było wracać na śniadanie. Przykry przymus zmuszał nas mówić o rzeczach obojętnych. Pani M** postąpiła kilka kroków naprzód, a Maryja z własnego natchnienia oparła się na mem ramieniu; przycisnąłem jej rękę do serca; szliśmy w milczeniu. Słowo: szalik, wymówionem jednak zostało.— Zapewne Pan ganisz ten błękitny szalik,— rzekła Pani M**,— i masz racyję. Od dwóch miesięcy nie noszą ich więcej; szaliki zupełnie wyszły z mody. Powiedz to Pan Maryi; przybywasz z Paryża, prędzej Panu uwierzy, niżeli mnie. Tak daleko posuwa upór, iż nie chce nosić chustki; ostatnią nawet chorobę winna temu nieszczęśliwemu szalikowi...— Czy to bydź może?— zawałałem.—Prawda— odpowiedziała Maryja.

—Scisnąłem jej rękę. Przybyliśmy do zamku. Maryja nie zdawała się mnie unikać. Nie ukrywała co się działo w jej sercu; była cała miłością ku mnie przejęta. Lecz umiała pojednać, z przezornością i wdziękiem niewymownym, chęć uszczęśliwiania mnie co chwila, z dziewiczą skromnością panienki, pozbawionej opieki matki. Szanowałem to uczucie, poiłem się jego urokiem, lecz niemniej dla tego byłem nieszczęśliwym. O! bez wątpienia, najpowabniejszą istotą, jaka może bydź na ziemi, jest kobieta kochająca.

Luba niewiadomość, której świat nie zwiędlił jeszcze zgubnem swojem tchnieniem, poświęcenie bez granic, wyłączne wylanie się dla jednego przedmiotu, wszystko to połącza w sobie dusza kochającej dziewicy.

Przymus, jaki musieliśmy sobie nakazywać, co dzień był dla mnie nieznośniejszym. Stałem się milczący i ponury. Maryja szukała wszelkich sposobów złagodzenia mego smutku; lecz wszystkie jej usiłowania były daremnemi. Wkrótce spojrzenia moje stały się wymówką. Któraż kochająca kobieta myśli sama o sobie, gdy się obawia udzielić samych tylko cierpień miłości!

Pewnego wieczora, Pani M** robiła głośne rulady przy klawikorcie. Wszyscy zgromadzeni byli w salonie, jedni z upodobania, drudzy przez grzeczność. Sam z Maryją zostałem. Powietrze było uwonione, blady księżyc oświecał nas drżącem swojem światełkiem. Byliśmy oboje oparci na ganku; ta cisza nocna, ta milcząca i wspaniała natura, budziły w nas smutne i lube wzruszenia. Długo staliśmy zatopieni w myślach. Nakoniec Maryja bardziej się do mnie jeszcze zbliżyła.

— Cierpisz? — rzekła. Za całą odpowiedź rzuciłem na nią pełne miłości spojrzenie i roztworzyłem ręce...— Oh!— rzekła: był to krzyk żałośny skromności, obawy, miłości, — nie śmiem... — Maryjo!... Padła na me serce. Tak byłem wzruszony, żem się zaledwie mógł utrzymać. Była drżąca, niespokojna...— Widzisz, że nie mam sił oprzeć się tobie: miej litość nade mną.... — Maryjo! uwielbiona moja Maryjo!

W tej chwili kilka osób wchodziło na ganek. Oddaliła się, wskazawszy mi gwiazdziste niebo po nad naszemi głowami.

Stałem się spokojniejszy, wystrzegałem się mówić o miłości, o przyszłości. Tak zwolna ofiary, któreśmy sobie nakazywali, mniej stały się boleśnemi. Braterska poufałość była dla nas wynagrodzeniem i zapełniła czczość naszego życia.

Urok tak niezupełnego szczęścia długo trwać nie mógł; lecz głos jakowyś tajemny ostrzegał nas, aby go nie rozrywać. Jeżeli nas serce często obłąkuje, ma za to niepojęte, jaśniejące przeczucia, które samo tylko zrozumieć jest zdolne.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Z przyjemnością donosimy, że Pan L. K. Rewoliński, znany już z urywkowych prac swoich w zawodzie literackim, zajmuje się przekładem na język polski „Jerozolimy Oswobodzonej Tassa". Umieszczamy z niej początek księgi pierwszej:

GOTFRED DE BOUILLON,

albo

JEROZOLIMA OSWOBODZONA,

TORQUATA TASSA.

PIEŚŃ PIERWSZA.

Treść.

Do Tortozy Anioła Stwórca przekazuje,
Gotfred zaś chrześcijańskie Książęta zgromadza;
Jednomyślność rycerzy Wodzem go mianuje,
On zaś ich pod sztandary na pole sprowadza,
Następnie po przeglądzie w marsz iść rozkazuje,
Wiedzie wojsko pod Syon silna starszych władza.
Na ten odgłos pochodu Monarcha Judei
Drży z trwogi, pozbawiony wygrania nadziei.

1.

Świętą opiewam wojnę i waleczność męża,
Który Chrystusa Pana grób wielki wybawił;
Wiele zdziałał mądrością i mocą oręża,
Wiele w tej chlubnej walce przygód się nabawił;
Daremnie całe piekło swą wściekłość natęża,
Próżno się lud Azyi zbrojnem wojskiem stawił,
Gdyż pod święte sztandary, Nieba przychylnością,
Zgromadził towarzysze i natchnął jednością.

2.

Muzo! — lecz nie ty, której wawrzyny nietrwałe
Ze szczytu Helikonu czoło ozdabiają;
Ale ty! — której Nieba chóry głoszą chwałę,
Laurem z gwiazd nieśmiertelnych skronie uwieńczają!
Natchnij świętym zapałem me uczucia śmiałe,
Me piersi niech twym boskim głosem zaśpiewają;
A jeżeli czasem prawdę w ozdoby przystroję,
Racz nademną, przychylna, wstrzymać gniewy swoje.

3.

Wiesz bowiem, iż świat cały dąży zachwycony,
Gdzie Parnas więcej wabi zmyślenia płodami,
Gdzie prawdę przyozdabia wiersz z wdziękiem kreślony,
Gdzie serca nieprzychylne dumi zwycięztwami.
Tak podajemy kubek po brzegach słodzony,
By słabe dziecię piło napój z goryczami;
To zaś, cierpkie lekarstwa pije, oszukane,
I w goryczy znajduje zdrowie pożądane.

4.

Wielkomyślny Alfonsie! — od losu srogiego
Tyś mię wyrwał i przywiódł do portu zbawienia,
Wpośród skał bałwanami już już ułonionego;
Racz łaskawy z radością przyjąć moje pienia,
Które Ci ja przynoszę z duszy serca mego;
Może nadejdzie chwila mych życzeń spełnienia,
Że też pióro opisze Twoje świetne czyny,
Których ledwo śmie teraz dotykać wawrzyny.

5.

Wyrok ten będzie słuszny, jeżeli się stanie:
Iż dobry lud Chrystusa, w jednomyślnej zgodzie,
Wyrwie Trakom na lądzie, morzu, panowanie,
Jako łup niesłuszności w jego dzierżon rodzie.
Tobie słusznie należy bedła posiadanie,
Oby cię lud postawił na zastępów przodzie;
Teraz naśladowniku Bouillona (*) znoju,
Słuchaj wierszy, — i spiesznie gotuj się do boju.

6.

Już rok szósty upływał: — jak siły orężne
Wojsko Chrystusa Pana na Wschodzie złączyło;
Jak w zamiarze szlachetnym zajaśniało mężne;
Niecęc, Antyjochiją szturmami zdobyło;
Staczało walki z Persy, liczbą niepotężne;
Jak w obronie tych krain z przemocą walczyło;
Jak zajęło Tortozę; — ale ją oddało,
Dla przykrej pory roku, — pomyślnej czekało.

7.

Wreszcie zbliżał się koniec pory roku dżdżystej,
Która wojska i postęp działania wstrzymała.
Wtem spojrzał z wysokiego Tronu Wiekuisty,
Będącego w tem niebie, zkąd jasność wspaniała
Najwięcej razi ziemian przez swój blask ognisty;
A jaka od gwiazd piekła jest odległość cała,
Tyle On po nad gwiazdy wysoko wzniesiony,
Spojrzał na świat, ogarnął wzrokiem milijony.

8.

Objął wszystkie szczegóły i Wszechmocne oczy,
Obrócił na Syryją, chrześcijańskie Pany:
A tak, gdy Wielowładny po krajach wzrok toczy,
Przed którym ujść nie zdoła pomysł przedsiębrany,
Widzi Gotfreda: — jak chęć w krwi niewiernych broczy,
Jak chce z miejsca świętego wypędzić pogany;
Jak tą żądzą gorejąc, w przedsięwzięciach dzielnych
Gardzi berłem, skarbami i chwałą śmiertelnych.

9.

W Baldwinie zaś przeciwnie, widzi umysł chciwy,
Jak do ziemskiej wielkości całem sercem pała.
Tankreda: — jak o swoje życie niegorliwy,
Jak czcza miłość wnętrzności jego udręczała.
Bemunda w Antyjochii: — jak jest niecierpliwy,
Jak jego władza nowe rządy wprowadzała,
Jak nowy przemysł krzewi i inne zwyczaje,
Jak Bogu prawdziwemu prawą cześć oddaje

10.

Jak ta go cześć wyłącznie całkiem zajmowała,
Iż zdał się wszystkie inne rzucać zatrudnienia;
Jak dążność wojownicza Rynalda wzrastała,
I była niecierpliwą na każde wytchnienia;
Jak nie do złota, rządów, żądza nim władała,
Ale szał gorejący do sławy dzierżenia;
Widzi: — jak słucha Gwelfa wielkich dzieł pochwały,
Jak przez nie do wielkości większe czuł zapały.

11.

Tak Władca świata, dwóch stron gdy zamiary bada,
I tak jednych, jak drugich rozpoznał skłonności,
Przywołał Gabryjela, — który chórem włada
Ogromnej, niezliczonej Aniołów mnogości;
Który moc pośrednictwa w poselstwie posiada,
I jest wiecznym tłumaczem śmiertelnych dążności.
Już on modły ziemianów do nieba zanosił,
Już też wyroki Boga śmiertelnikom głosił.

12.

Bóg rzekł do swego Posła, i to mu przedstawia:
„Znajdź Gotfreda i w mojem oświadcz mu imieniu,
„Czemu zaczętej wojny jeszcze nie ponawia?
„Dla czego Jeruzalem dotąd w ujarzmieniu?
„Niech rycerzy przywoła, — niech wojnę objawia,
„A sam zaś niech dowodzi temu walk toczeniu;
„Ja go wybieram wodzem, nim będzie na ziemi,
„A teraz równi jemu będą podległemi."

(*) Gotfred de Bouillon.

BICZ.

Na wyspie Cejlan, gdy Pan jakowy wielki wychodzi na przechadzkę, kilku niewolników, uzbrojonych w ogromne bicze, idzie przodem i trzaska niemi niemiłosiernie, uwiadamiając tym klaskiem pospólstwo, ażeby z poszanowaniem ustępowało z drogi.

Szarada.

Pierwsze i trzecie, czwartem zakończone,
Ma kształt przyjemny, owoce czerwone.
Odwróć zaś drugie, a spokojne fale
Toczy przez państwo Rosyjskie wspaniale.
Wszystko wzór wdzięków, cnoty i słodyczy,
Wśród hołdowników mnie pierwszego liczy.